

## Koło Medyków (Puls 12/2004)

Autor: Jerzy Borowicz

19 grudnia 2004

Koło Medyków powstało w latach 20. ubiegłego wieku – w Domu Medyka, przy ul. Oczki w Warszawie.

Przy jego budowie pracował, młody wówczas lekarz, Stefan Wesołowski, który w latach 1927-1933 był kierownikiem Sekcji Towarzyskiej Koła. Organizował szopki satyryczne, do których pisali teksty, poza samym profesorem, doktorzy: Alfred Paczkowski (cichociemny), Michał Kołodyński, Konstanty Świder i inni. Wszyscy z Podchorążówki Sanitarnej (por. „Puls” nr 31, 1995). Dzisiaj Profesor Wesołowski jest chodzącą legendą i dumą polskiej medycyny.

Po wojnie reaktywowano działalność studencką Koła Medyków i pod koniec lat 40. znowu powstała Sekcja Towarzyska. Jej przewodniczącym został kol. Andrzej Wiczyński, który później, już jako lekarz, wsławił się tym, że pierwszy w Polsce (w Warszawie) wprowadził system wolnego wyboru lekarza, co w czasach PRL-u było pomysłem rewolucyjnym.

Moje wspomnienia z Koła Medyków sięgają lat 50., kiedy to byłem studentem AM. Niepodzielnym, nieoficjalnym „władcą” Koła w tamtym czasie był szatniarz – pan Adam. Znał wszystkich stałych bywalców. Był źródłem wszelkich plotek i informacji, kasą zapomogową dla spłukanych, po wyjściu z kawiarni, studentów. Prowadził też (dla wtajemniczonych) działalność „humanitarną” i, jak to było w piosence Sławy Przybylskiej, „z uśmiechem dawał klucz” do sekretnych pomieszczeń niektórym studenckim parom pragnącym miłości, oczywiście za drobną opłatą.

Na parterze Domu Medyka znajdowała się kawiarnia, z której gwar braci studenckiej słyhać było już przy wejściu. Bractwo schodziło się po godzinie 10, po zakończeniu obowiązkowych ćwiczeń. Stali bywalcy zasiadali przy kawiarnianych stolikach. Koleżanki, studentki, były kelnerkami. Piło się kawę, a co „bogatsi” studenci zamawiali, modne wówczas, słodkie wino „Bachus”. Ulubiony stolik miał Genio Butruk (Genio to dzisiejszy Eugeniusz, znany profesor gastroenterolog). Piekielnie zdolny, z ogromnym poczuciem humoru, namiętny gracz w brydża. Niekiedy, podochocony winem, zasiadał do pianina kol. Karol Hibner, intonował popularny dixielandowy standard – „Świętych” (When the Saints Go Marching In), przy wspierającym śpiewie bywalców. Z tych wspólnych kawiarnianych, beztroskich spotkań (byliśmy młodzi) zawiązało się wiele par. Trudno w tym miejscu nie wspomnieć o naszym koledze Mariuszu Simonim. Mariusz, niezwykle przystojny, o południowej urodzie, był ulubieńcem wszystkich, a zwłaszcza koleżanek. Niestety, już jako lekarz chirurg, zginął śmiercią tragiczną. Na pierwszym piętrze Domu Medyka, w dużej sali balowej, w karnawale, co soboty, odbywały się tańce i swawole. Wstęp na sobotnie zabawy był ściśle reglamentowany, w tym sensie, że wpuszczano się tylko studentów medycyny, bowiem sława naszych balów rozchodziła się po całej Warszawie i wiele innych osób usiłowało się tu wcisnąć. Nasze koleżanki często wprowadzały swoich chłopaków z UW lub Politechniki.

Do tańca grał znakomity dixielandowy zespół studencki w składzie: Jurek Meissner na pianinie (obecnie profesor chirurg w Instytucie Hematologii), na perkusji Andrzej Donde, a później Maciek Brodowski i Krzysio Sędzimir. Wszyscy lekarze. Niestety Krzysio Sędzimir już nie żyje. Na kontrabasie Maciek Grójec, na trąbce Andrzej „mały” Wiśniewski (lekarz pediatra),

a na klarnecie Artur Dziak (znakomity ortopeda, profesor i kierownik Kliniki Ortopedii i Rehabilitacji II Wydziału Lekarskiego AM). Czasami jazzową wokalizą popisywali się piszący te wspomnienia oraz Andrzej Langner (obecnie znany profesor dermatologii AM w Warszawie). „Podrywało się” na tych imprezach koleżanki z młodszych lat i często podrywcy te kończyły się ślubem.

Były też organizowane bale sylwestrowe. Pamiętam jeden, bodajże na przełomie roku 1955/56, kiedy to bal zaszczylił swoją obecnością Jego Magnificencja Rektor Marcin Kacprzak z gronem profesorskim.

Trochę to nas krępowało, ale Pan Rektor, z wrodzonym poczuciem humoru, oświadczył: „jedźcie i pijcie... i czyńcie to bez krępacji” (niektórzy goście z grona profesorskiego za kołnierz nie wylewali). Były to zabawy niepowtarzalne, spontaniczne i przyjacielskie.

Nigdy, albo prawie nigdy, nie dochodziło do żadnych bójek czy awantur – przynajmniej na terenie Domu Medyka. Na schodach wiodących na 2. piętro (siedziba ówczesnego ZSP) było stosunkowo ciemno i idąc na górę potykało się o siedzące na nich, całujące się pary studenckie, które po wyczerpujących tańcach szły odpocząć od dusznej sali. Jakie to było fajne i romantyczne! Łza się w oku kreci.

W tych latach swoich uczuć nie wyrażało się całowaniem na przystankach tramwajowych w biały dzień. *Panta rhei*.

Oprócz imprez tanecznych w Kole Medyka organizowano imprezy kulturalne. Spotkania z uczonymi i artystami, koncerty zespołu ESKULAP Jerzego Woya-Wojciechowskiego. Nie zapomnę jednego koncertu jazzowego, który odbył się w sali balowej. Do Polski przyjechał znakomity murzyński kwartet jazzowy „New York Jazz Quartet”, z Harlemu (bodajże rok 1957). Jazz w Polsce niedawno wyszedł z podziemia (muzyka zaplutyh kartów reakcji, czyli kapitalistów) i tę ucztę muzyczną, którą sprawili nam amerykańscy muzycy z wirtuozem trąbki J. Sullivanem, będę pamiętał do końca życia. Nawet ci, którzy nie interesowali się jazzem, słuchali tego koncertu zafascynowani.

Chciałbym jeszcze do tych wspomnień wpleść jeden wątek osobisty (jeżeli coś w nich przekręciłem, to proszę o wybaczenie – czas zaciera niektóre fakty). W 1956 roku, po jednym z październikowych wieców na Politechnice, przyszedłem do Koła Medyków, a tam, w sali balowej – potańcówka, przy muzyce mechanicznej. Za nagłośnienie sali odpowiadał wtedy kol. Wajszczuk (obecnie znany kardiolog w USA, szwagier kol. Zbyszka Religi). Marcin Krotkiewski, który tam był (obecnie profesor endokrynologii w Szwecji, autorytet światowy w leczeniu otyłości), poznał mnie ze śliczną dziewczyną o pszenicznej, polskiej urodzie, koleżanką o rok wyżej na studiach – Jolą Janiszewską. Jola wróciła właśnie

z Sopotu, gdzie odbywały się, pierwsze w Polsce, wybory miss – została wicemiss Sopotu. Padłem, jak rażony piorunem, którym była jej uroda. Zakochałem się z punktu.

Spotykałem się z Jolą przez kilka miesięcy, ale niestety zostałem porzucony. Przeżywałem to bardzo, ale nie za długo. Jola od kilkudziesięciu lat jest w USA, gdzie pracuje jako znany i wzięty neurolog.

Wspaniałe lata studenckie! Chciałbym bardzo zachęcić młodszych kolegów do napisania tego, co teraz się dzieje w Kole Medyków – mnie zostały tylko wspomnienia z tamtych lat.